

Artykuły z *Tygodnika*
Głogowskiego
29.10.2003 – 11.02.2004

„Komuna Znaczy Gmina”

Firma „Miasto”

„Miejskie powietrze czyni wolnym”

Zachodnioeuropejskie prawo miejskie - w Niemczech na Śląsku i w Polsce było to w przewadze prawo magdeburskie - miało przełomowe znaczenie dla rozwoju osadnictwa i, ogólnie, jakości życia. Już sama ilość lokacji miejskich na Śląsku do początków XIV w. - około 100 - świadczy o atrakcyjności tego modelu. Na Śląsku prawo magdeburskie i oparte o nie samorządy miejskie funkcjonowały w mało zmienionym kształcie aż do połowy XVIII w. (wprowadzony wtedy pruski centralizm nie sprawdził się na dłuższą metę; w początkach XIX w. powróciła zasada samostanowienia gmin).

Na czym polegała istota rewolucyjnych przemian dla ludności zamieszkującej w pierwszej połowie XIII wieku osady targowe, czy też, jak Głogów, „miasta na prawie polskim”? Najogólniej: osiadłym w nich kupcom i ludności służebnej brakowało dotąd oznak ekonomicznej samodzielności, wyrażających się m.in. w prawie do posiadania na własność ziemi, oraz pełnej wolności osobistej.

Nadawane przez książąt istniejącym (względnie nowo lokowanym) osadom prawo magdeburskie, tworzyło warunki dla takich przemian, które skutkowały następnie żywym udziałem mieszkańców w zarządzaniu miastami. Uwolnienie kupców i nowej

kategorii społecznej - mieszczań - od zależności lennej budziło w nich odwagę działania i ducha przedsiębiorczości. Rozpatrzmy to na przykładzie rzemieślników. W odróżnieniu od dotychczasowych powinności służebnych świadczonych przez niewolną ludność, rzemiosło w mieście nowego typu stanowiło główne zajęcie zawodowe, uprawiane na własną odpowiedzialność w wyuczonym zakresie rękodziela. Rzemieślnik odbywał naukę zakończoną egzaminem. Jako samodzielny mistrz posiadał na własność dom i środki produkcji. Jego członkostwo w organizacji cechowej było przywilejem.

Teraz Głogów

W roku 1253 książę Konrad I zamierzał nadać istniejącej osadzie („miastu na prawie

polskim”) prawo magdeburskie. W dokumencie z 13 grudnia tamtego roku zawarta została wzorcowa formuła. Otóż książę pragnie: „założyć wolne i obronne miasto, które ma poprzez swą wolność przyciągnąć wielu ludzi i w oparciu o swoją moc zapewnić przybyłym bezpieczeństwo”. Wpierw jednak musiał się książę pozbyć konkurencji. Tego dotyczy dokument. W nim książę „układa się” z biskupem wrocławskim Tomaszem i kanonikami głogowskimi: w zamian za zrzeczenie się przez nich dochodów, jakie przynosiła im głogowska osada, rezygnuje na ich rzecz z określonych posług i danin, które jemu, jako władcy, należały się dotąd na mocy prawa polskiego od wszystkich poddanych.

Książę Konrad I, posiadłszy w założonym przez siebie

przedsiębiorstwie pod nazwą „miasto” pełnię praw, mógł nimi dowolnie rozporządzać. Sprawował za pośrednictwem wójta sądownictwo, pobierał podatki, urządzenia handlowe wydierżawiał mieszkańcom za odpowiednie czynsze. Zauważmy, że dla siebie książę wydzielił znaczny obszar (jurydykę); zamieszkała w nim ludność służebna nie miała praw, które przysługiwały mieszkańcom części miejskiej.

Gdzie tu wspaniałe perspektywy dla mieszkańców miasta, zapyta ktoś. Otóż ci, prócz praw i wolności, otrzymywali także czas „wolnizny” na zagospodarowanie. Następnie zaś książę nie okazał się tak głupi jak, nie przymierzając, ów wieśniak - czytaj: fiskus - który aby zebrać czereśnie, ścina owocujące drzewo.

Antoni Bok

Zapach pieniędzy

Mieszkańcy średniowiecznych miast płacili, a jakże, podatki. Trafiały one do miejskiej kasy. Uiszczając podatki, czynsze, opłaty dzierżawne i inne, mieszczanin miał prawo oczekiwać, że ojcowie miasta, po oddaniu cesarzowi co cesarskie, przeznaczą właściwe środki na wydatki służące dobru gminy miejskiej.

Pewną część dochodów pochłaniało opłacanie służb komunalnych i urzędników. Wśród nich największe pobory miał pisarz miejski. We Wrocławiu główny pisarz zarabiał pod koniec XIV w. aż 28 groszy tygodniowo, za co mógłby sobie kupić dwie krowy - gdyby ich potrzebował. Dla porównania mistrz budowni miejskich otrzymywał 9 gr., strażnik na wałach 3, a strażnik dzielnicowy - odpowiednik naszego „stójkowego” - 2 grosze. Trzeba wszakże zauważyć, że pisarz miejski był najbardziej uczonym człowiekiem w mieście, a zakresem spraw, który-

mi się zajmował, można by dziś obdzielić kilkudziesięciu urzędników - co też się robi.

Remonty i reprezentacja

Wśród wydatków na cele komunalne, na czoło wysuwały się: bezpieczeństwo (budowa fortyfikacji, utrzymywanie straży i własnych wojsk), budowy i remonty publiczne oraz przeciwdziałanie i likwidacja klęsk żywiołowych. Do tych spraw jeszcze powrócimy. Natomiast opieka zdrowotna i szkolnictwo były zasadniczo do czasów nowożytnych w rękach Kościoła. On też miał udział w dobroczynności na rzecz ubogich, choć w tejsferze widoczne były także poczynania rady miejskiej - np. blokowanie wzrostu cen chleba.

Ponieważ duże miasta prowadziły własną politykę, niebagatelne sumy pochłaniały zabiegi dyplomatyczne i poselstwa. Podatnicy mieli zapewne te

same wątpliwości co dzisiejsi, kiedy na pytanie, co prezydent miasta i towarzysząca im świta robią dajmy na to w Chinach, pada sakramentalna odpowiedź: „promują i lobbuja miasto”. Jeszcze większe sumy kosztowały wizyty najznakniejszych gości. Wyobraźnię przechodzi, jakie koszty poniósł Głogów podejmując w r. 1462 królów Kazimierza Jagiellończyka (który przyprowadził ze sobą 15 tysięcy konnicy!) i Jerzego Podiebrada („tylko” 2 tys. piechoty i 5 tys. konnych); pomijmy już tygodniowe ucztowanie.

Nic dziwnego, że koszty reprezentacyjne nieraz powodowały dziurę budżetową w miejskiej kasie. Kiedy wydatki przewyższały dochody, równowagę osiągnąć kosztowało zadłużanie miasta. Był to problem nie tylko ustępującej rady miejskiej, zobowiązanej do przedstawienia rozliczeń z wydatków kadencji (zwykle 1 rok) i przekazania nowym rajcom kasy.



Pisarz miejski z otarza Włocławka w kościele Mariackim w Krakowie

Urząd wyżywi się sam?

Gdzie w tym wszystkim są dochody „góry”: rady miejskiej i ławników? Według prof. Henryka Samsonowicza, w zasadzie udział we władzach miejskich był honorowy (zwyczaj wypłacanie burmistrzom rocznej pensji datuje się na ogół od XVII w.), jednak łączył się z różnorakimi korzyściami finansowymi. Jedynie ławnicy oficjalnie dzielili między siebie wpływ z opłat i kar sądowych. Dla rajców, pomijając obfite poczęstunki na ratuszu i zwyczajowe podarki świąteczne, największe znaczenie miały ulgi i przywileje finansowe: Dzierżawili oni

na korzystnych warunkach (lub w ogóle bez opłat) i monopolizowali lukratywne dobra miejskie, urządzenia przemysłowe i opłaty ściągane przez miasto. Do tego dochodziły ulgi lub zwolnienia podatkowe. Rada z własnego grona wyznaczała osoby zawiadujące miejskim majątkiem. Obsadzała urzędników i funkcjonariuszy. Czuje się tytułowy zapach pieniędzy. Nic więc dziwnego, że w wielu miastach o stanowiska w radzie toczyła się walka wśród zamożniejszych rodzin, kwitł nepotyzm i kumoterstwo.

Antoni Bok

Głogów (samo)obronny

Wiosną 1488 r. kilkutyśne wojsko, w tym osławiona węgierska „czarna rota”, obległo Głogów. Użyto ciężkiej artylerii; ze Świdnicy przetransportowano największą na Śląsku armatę - przyciągnęły ją 43 konie! Głogowska załoga była mizerna - paręset Czechów wiernych Janowi II Żagańskiemu i przymuszeni mieszkańcy. A jednak miasto pozostawało niezdobyte. Aż, po pół roku, głód, choroby, bunty i dezercje wymusiły poddanie się. Zdolność do długiej obrony Głogów, jako wspólnota miejska, zawdzięczał sobie sam.

Dla średniowiecznych miast obronność była sprawą najważniejszą. Osiągano ją przez wybudowanie, zbiorowym wysiłkiem mieszkańców, możliwie najlepszych obwarowań. Na pierwszej pieczęci Głogowa widnieją mury z basztami i strażnik dmący w róg. Pochodzi ona z przełomu XIII/XIV w., kiedy to wznoszono pierwsze mury miejskie z basztami, bramami i furtami. W XV w. wybudowano ich drugi ciąg, a wynalazek

prochu spowodował, że konieczne stało się dobudowanie bastei. Bramy Polska i Brzostowska posiadały imponujące umocnienia. System obronny uzupełniały fosy, suche lub odcinkowo zalane (ponad nimi przerzucono u wylotu bram kamienne mosty) i oczywiście Odra. Obwarowany został również Ostrów Tumski. Bartłomiej Stein napisał na początku XVI w., że Głogów posiada najlepsze po Wrocławiu obwarowania na Śląsku. Utrzymanie ich: odbudowy, bieżące remonty i modernizacje, oznaczało nieustające wydatki z kasy miejskiej i dodatkowe obciążenia dla mieszczan.

Infrastruktura to jedno, ważniejsi są przecież zorganizowani do obrony ludzie. To zadanie spoczywało na organizacjach cechowych. Kto należał do cechu, miał obowiązek bronić miasta; uchylanie się groziło karą, do wypędzenia włącznie. Zbroję musiał sprawić sobie sam. Kiedy pojawiało się niebezpieczeństwo, zaalarmowani rzemieślnicy dążyli w umówione miejsce, gdzie formowali się w od-

ziały, uporządkowane według cechów. Poszczególne cechy miały przydzielone obiekty do obrony i strażowania w czasie pokoju. Rozporządzenie rady miejskiej Głogowa z 1390 r. stanowi, na których bramach, wieżach i furtach młodzież cechowa ma pełnić straż: rzeźnicy na Bramie Szpitalnej, piekarze na Bramie Polskiej, szewcy i garbarze przy Furcie Młyńskiej, kowale na wieży wartowniczej „gdzie mieszka pasterz”, krawcy przy furcie Bożego Ciała, sukiennicy i tkacze wełny (parciarze) przy furcie obok klarysek, a kramarze i kuśnierze przy dworze biskupim.

Wyższą formą organizacji stały się bractwa strzeleckie, powstające w miastach masowo w XVI w. Tworzone na wzór cechów, posiadały własnych patronów, herby, barwy, akcesoria, kodeksy norm postępowania, i oczywiście systemy szkolenia. Uroczyste strzelanie do kura i tarczy stało się nie tylko obowiązkiem z mocy edyktów cesarskich, ale i tradycją i barwnym świętem. Bractwa strzeleckie, które przetrwały tu i ów-



Zwycięzcy zawodów strzeleckich (Bibl. Uniwersytecka we Wrocławiu)

dzie do dziś, są echem czasów, kiedy faktycznie pełniły rolę miejskiej milicji obronnej. Powstałe w 1511 r. bractwo głogowskie skupiało kuszników. Parę dziesięcioleci później występują już także strzelcy z broni palnej. W każdym roku, od Zielonych Świątek począwszy, dwóch królów kurkowych cieszyło się nagrodami rzeczowymi, sławą i... całkowitym zwolnieniem od podatków.

Należy dodać, że miasto angażowało, a okresowo posiadało, wojsko zawodowe. Dysponowało uzbroje-

niem komunalnym, w tym (od XV w.) artyleryjskim. Pierwszy arsenał istniał już w 1399 r. W pożarze, który zniszczył Głogów w 1615 r., spłonęła zbrojownia z setkami włócznie, pancerzy, muszkietów, strzelb, hełmów, rapierów i chorągwi oraz arsenał z m.in. 13 armatami. Wojna Trzydziestoletnia przyniosła upadek Głogovia Maior. Miasto przekształcono w twierdzę, która otrzymała stały garnizon. Obrona Głogowa stała się sprawą wagi państwowej.

Antoni Bok

Paragraf i topór

„1 maja 1574 roku na ulicy Długiej jednooki Rudolf von Dirna zakłuił pewnego biednego robaczka, cieślę. W następny wtorek szlachcic ten został ścięty mieczem”. Tak jak owa zapiska z głogowskich annałów, zwycię – i szybko egzekwowane – było prawo karne stosowane w ówczesnych miastach. Z powyższej notatki dowiadujemy się też, że nie było taryfy ulgowej dla szlachetnie urodzonych. Sprawowanie sądów przez ławników, w części spraw przez radę, a niekiedy wspólnie, odbywało się na ratuszu,

wymierzanie wyroków –

najczęściej pod gołym niebem: na ulicach i placach, także poza obrębem miasta. Pilnie przestrzegano wszakże zasady, że kara musi mieć wymiar publiczny. Świadczyć o tryumfie sprawiedliwości nad bezprawiem, a przede wszystkim odstraszać tych, którzy chcieliby pójść śladem przestępcy. W lżejszych przypadkach, np. nierząd, niewierność małżeńska, wystarczała

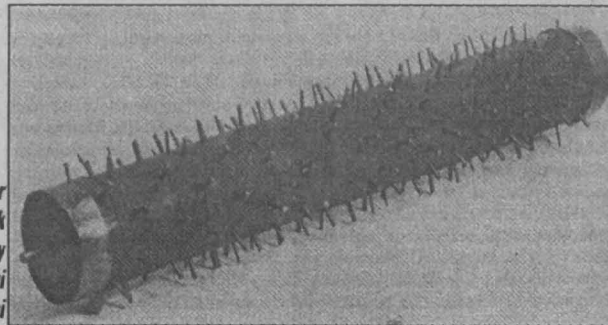
kara „stójki” przy pręgierz lub chłosta, wymierzana przy „kolumnie chłosty” („Staupsäule”; znajdowała się u wylotu ul. Szewskiej do Kaserenstrasse – obie ulice dziś nie istnieją). Innym urządzeniem był – głogowska specjalność – „błazeński domek”, stojący przed obecnym budynkiem Teatru Miejskiego. Do wielkiej drewnianej, obrotowej klatki zamykano delikwenta, po czym zaczynało się kręcenie. Tę przyjemność zastrzeżono dla zgromadzonej publiczności. Zdarzało się, że nieszczęśnika trudno było docucić... Niemoralne występkę inspirowały czynniki kościelne do wymyślania osobliwych kar, które następnie zatwierdzała (lub nie) rada miejska. W roku 1605 pastor Quartus zaproponował ciężką żelazną kunę. Zamocowano ją do bramy cmentarza. Występnego głogowianina czekało przytroczenie do tego przyrządu. Po odbyciu kary miał

dodatkowo przez trzy niedziele klęczeć w farze przed głównym ołtarzem. Wyobraźmy sobie jeszcze różnego rodzaju „parady” skazańców, obwieszonych „wieńcami hańby” i czym tam jeszcze, prowadzanych po mieście w otoczeniu rozochoczonej gawiedzi.

Kara wypędzenia z obszaru miejskiej zwierzchności sądowej dotyczyła głównie tych, którzy ewidentnie sprzeciwiali się władzom. Kara długoletniego więzienia („wieży”) nie była oczywiście tak rozpowszechniona jak obecnie. Utrzymywanie więźniów przez podatników nie znalazłoby zrozumienia. Do wieży trafiali najczęściej ci, którzy sprzeniewierzyli publiczne pieniądze.

Nie licząc rozbudowanego systemu kar pieniężnych – nie darmo używamy dziś pochodzącego ze średniowiecza terminu grzywna – do omówienia pozostaje najcięższy kaliber: kara śmierci. Ciężkie przypadki kradzieży, napady rabunkowe, włamania, oszustwa, zdrada kraju – karane były stryczkiem. Morderczynie

*Narzędzie tortur
- walek
drewniany
z żelaznymi
kolcami*



dzieci „zwyczajowo” topiono. Mordyna tle rabunkowym zasługiwały na łamanie kołem. Podpalaczom i „czarownikom” (płci obojga) należało się spalenie na stosie. Szczególne przypadki wymagały wyraźniejszego potraktowania, rozbudowanej „ceremonii”. Do nich należały: śmierć zadana przez dorosłe dzieci rodzicom, popełnione ze szczególnym okrucieństwem lub wielokrotne morderstwo, spowodowanie wielkiej szkody (np., jak uważano, epidemii) całej gminy.

Aby nie być gołosłownym, przytoczam

dwa przypadki

W 1570 r. Michał Hering kopnął ojca w głowę; rodzic zmarł. Sąd ska-

zał syna na straszliwą śmierć: „najpierw pod domem ojca ucięto mu prawą nogę, potem szarpano go na wszystkich skrzyżowaniach ulic kleszczami, na koniec go poćwiartowano, a części ciała porzucono przed czterema bramami miasta”. W 1599 r. pod Wierzchowicami zabito dwoje dzieci. Sprawca został natychmiast ujęty. W śledztwie przyznał się do dwunastu morderstw! Adekwatny wyrok śmierci brzmiał: czterokrotne rwanie rozżarzonymi kleszczami, następnie powolne połamanie kołem.

Do tego skrótego obrazu brakuje nam jeszcze kata, izby tortur i szubienicy.

Antoni Bok

Wzgórze Szubienicy

1 2 marca 1582 roku zaczęto w Głogowie budowę szubienicy. Na wybrane miejsce – niepozorny pagórek za miastem – podążyli cieśle z rozpocartymi chorągwiemi. Wszyscy, ale to literalnie wszyscy cieśle z Głogowa, jego przedmieść i należących do miasta wsi, nie poszli tam bynajmniej z ochotą. Raczej na pewno z nakazu władz miejskich. 22 marca udali się tam murarze, tak samo ze swoimi chorągwiemi. I z burmistrzem Johannem Koblinem. On to właśnie położył pierwszą cegłę. Oznaczało to w sposób symboliczny, że szubienica jest wspólnym dziełem gminy. Zarazem zdejmowało odium z poszczególnych uczestników „inwestycji”. W innym wypadku każdy kto przyłożyłby do niej rękę, byłby „nieczysty”. Nie dziwią więc wahania rzemieślników.

Z głogowskich annałów, które przekazały te wiadomości, wynika, że pierwsza egzekucja odbyła się 28 czerwca następnego roku. Niejaki Bernard Gumpel został oskarżony o

kradzież 200 talarów, co jako przestępstwo pospolite kwalifikowało go na szubienicę. Ponieważ był osobą dobrze urodzoną, powieszono go „na najwyższej szubienicy, która została dla niego specjalnie zbudowana”.

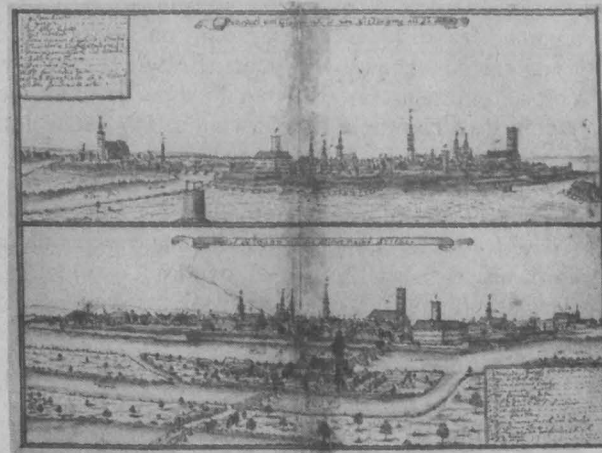
W dniu 2 września 1610 roku cieśle i murarze znów poszli z rozwiniętymi chorągwiemi na Wzgórze Szubieniczne. Naprawili tam co trzeba - za co dostali od czcigodnej rady miejskiej 6 achtl piwa. Taka dbałość nie dziwi. Publiczne miejsce kaźni musiało się prezentować okazale.

Wzgórze Szubieniczne znajdowało się mniej więcej przy dzisiejszej Alei Wolności, nieco za Placem Tysiąclecia. W latach 1754- 56 pagórek został częściowo rozebrany; ziemię zużyto do budowy umocnień twierdzy. Świadczy to o zmieniających się poglądach na rolę i ważność szubienicy, jako instytucji publicznej. Przynajmniej król pruski Fryderyk II, świeży władca Śląska, nie gustował w spektaklach, jakimi od stuleci były eg-

zekucje (podobnie np. drażnił go zwyczaj karania... samobójców i grzebania ich w nie poświęconej ziemi; wydał nakaz chowania ich na cmentarzach).

Wiosną 1813 roku francuska załoga głogowskiej twierdzy rozebrała kamienną szubienicę. W 1831 roku obok tego miejsca Prusacy wybudowali nowy szaniec, nazywając go Szubienicznym (Galgenschanze). Nie było to jednak jeszcze definitywny koniec znajdującego się tam miejsca kaźni. Dzięki młodemu pisarzowi Fritzowi Reuterowi, który za studenckie wybryki odsiadywał w Głogowie karę twierdzy, wiemy o ostatnim wyroku śmierci, który tam wykonano. Miało to miejsce 28 listopada 1837 roku. W tym dniu na Wzgórzu Szubienicznym (raczej – na tym co z niego zostało) ścięto toporem osobnika nazwiskiem Schnabel, któremu udowodniono niejedno morderstwo połączone z rozbojem.

Mniej niestety wiemy o głogowskich katach.



Widok Głogowa od zachodu z szubienicą na pierwszym planie. Rycina z połowy XVIII w.

Skape przekazy mówią rodzie Tinelów, którzy z ojca na syna (co było normą) sprawowali w średniowieczu sądy miejskie za miastem, między Turówem a Jaczowem. Miejsce to nazywano jeszcze w XX wieku „Tinels Gericht” (sąd Tinela). Od dawna porasta je las. Ostatni z owych Tinelów został jakoby zabity na moście w Głogowie przez krewnego skazańca. Podobnie jak gdzie indziej, kaci musieli się zajmować w Głogowie wszystkim co nieczyste – bo też nie-

czysta była sama profesja kata - mieć oko na wisielców, tepić bezpańskie psy, zajmować się wszelkiego rodzaju padliną, nie licząc innych innych „prac zleconych”.

Ludzie ci, choć wyklęci, mieli niezłe dochody. Przysługiwały im też „pamiątki” po skazańcach, ubrań nie wyłączając.

Niektóre z nich, mogli korzystnie spieniężyć, skoro wierzono, że na pewne kłopoty dobry był ... palec wisielca.

Antoni Bok

Na pożary Pioletti

Miasta paliły się, odbudowywały i znów padały pastwą płomieni. Tylko w czasach nowożytnych wielkie pożary niszczyły Głogów w latach: 1517, 1565, 1576, 1615 (wtedy spłonęło 1020 domów!) 1631, 1642, 1676 i 1756. Pożary były tragediami dla całej społeczności miejskiej. Te apokaliptyczne wydarzenia były także fascynującymi widowiskami - opisywali je poeci i dziejopisarze na wieczną rzecz pamiętkę i ku przestrodze. Nas bardziej interesuje, co oprócz poematów, modlitw i mszy (na pamiętkę pożaru z 1676 r. w głogowskim kościele parafialnym jeszcze w XX wieku odprawiano corocznie 7 października tzw. „mszę ogniową”) miasta mogły przeciwstawić żywiołowi ognia. Wiele wyjaśniła by tu lektura zarządzeń przeciwogniowych i budowlanych, które licznie wydawały rady miejskie. Niestety – i te ordynki prawie bez wyjątku spaliły się w pożarach. Zarządzenia regulowały obowiązek posiadania sprzętu „ppoż” w domostwach, zakazywały używania światła odkrytego w określonych miej-

scach, regulowały kwestie budowlane (odstępny w budowie obiektów „przemysłowych”, zakaz budowania domów drewnianych i krytych gontem). W poszczególnych dzielnicach wyznaczeni byli ogniomistrze, którzy mieli obowiązek okresowo sprawdzać, czy mieszczanie posiadają sprzęt, wiadra, kadzie na wodę przed domem, drabinę, czy dobrze są zabezpieczone przewody kominowe i piece. Zaniedbania były karane pieniężnie. Mieszczanie musieli także płacić specjalny podatek tzw. halerz ogniowy (we Wrocławiu wprowadzono go w 1345 r.). Pieniądże te szły na miejski sprzęt przeciwpożarowy, sikawki, publicznej cysterny na wodę.

Na wieżach kościołów lub ratusza tkwili w dzień i noc strażnicy. Wypatrzywszy ogień, alarmowali miasto określonymi w przepisach sygnałami. W Głogowie, według nowego porządku z 1802 r. strażnik na wieży ratuszowej miał obowiązek obwołać pożar przez tubę okrzykiem „ogień!”, w kierunku gdzie pożar wybuchł wywiesić trzy flagi, na-

stępnie dąć w róg i dzwonić ogniowym dzwonem - tak długo, aż pokażą się służby funkcyjne. Przy rozprzestrzenianiu się pożaru sygnały miał powtarzać.

Gaszeniem pożaru przez stulecia pozostawało zbiorowym obowiązkiem mieszczan. Istniały wszakże też specjalne służby miejskie, organizowane zarządzeniem rad miejskich, zwykle przez korporacje cechowe. Z wybuchem pożaru członkowie tych służb spieszyli na właściwe miejsca alarmowe. Jedni przeznaczani byli do gaszenia, zadaniem innych było zaopatrzenie, jeszcze innych pilnowanie bezpieczeństwa i porządku.

W 1772 r. do Głogowa zjechało się dwudziestu mistrzów kominiarskich z dolnośląskich miast. Założyli tu cech kominiarski. Rozwijał się on prężnie: w roku 1800 liczył 70 członków. W XIX wieku poszczególne miasta lub grupy miast zakładały własne cechy. Głogów, Zielona Góra, Szprotawa i Żagań skupione były w jednym cechu, liczącym w 1873 r. 23 kominiarzy. W połowie tamtego stulecia powstawać zaczę-



ły zawodowe stráže pożarne. W 1851 r. nastąpiło to w Berlinie – fakt, mający znaczenie dla Głogowa. W 1857 r. rada miejska wydelegowała mistrza cechu kominiarzy F. Piolettiego i jego poprzednika Battiga do stolicy, aby zapoznali się z organizacją i funkcjonowaniem berlińskiej straży. W rok później straż ogniowa ukonstytuowała się w Głogowie. Znalazła ona siedzibę przy ul. Długiej. W 1862 r. powstała osobna straż pożarna w teatrze miejskim. W tamtym czasie poznaczono ostatniego strażnika wieżowego.

Rodzina Piolettich, pochodząca w prostej linii od założyciela cechu kominiarzy w roku 1772 Hunckego, położyła wielkie zasługi w założeniu i rozwoju straży pożarnej w Głogowie i przewodziła, z pokolenia na pokolenie, głogowskim strażakom jeszcze w drugim dziesięcioleciu XX wieku. Kiedy w 1908 r. obchodzono hucznie 50-lecie straży pożarnej - zob. fotografia - na tę okazję Fritz Pioletti mógł już napisać rys historyczny szanowanej instytucji publicznej.

Antoni Bok

0 ulicznym groszu i bożonarodzeniowym jarmarku

Dla organizmu miejskiego ulice są zarówno krwiobiegiem jak i układem nerwowym. Na ulicach i placach dzieje się historia. Często decyzje podejmowane przez decydentów w zaciszach gabinetów weryfikowane były - i są - w "kryterium ulicznym". Gdyż ulice zawsze były, a przynajmniej stawały się w ważnych momentach dziejowych, areną dla ludu. Dziś jednak nie będzie o momentach, ale o codzienności.

Ulice i place

są intensywnie użytkowane, podlegają dużemu "zużyciu materiału". Ktoś więc musi tą przestrzenią publiczną zarządzać. Zanim powstały wydziały i zarządy dróg, ulice były "na stanie" rad miejskich. Spoczywała na nich odpowiedzialność za budowę, przebudowy i remonty nawierzchni oraz inne inwestycje, np. kanalizacja, oznakowanie, oświetlenie (tymi "mediami" zajmujemy się kiedy indziej). Władze miejskie posiadały w tym celu odpowiednie środki. Najpierw oczywiście pieniądze. Oprócz zwykłej

gamy podatków, ustanawiały np. specjalne cła od przyjezdnych i przejeżdżających wozów, przeznaczone na naprawę ulic. Na pobieranie takiego "grosza ulicznego" zezwolił w 1331 r. król Jan Luksemburski wrocławskiej radzie miejskiej. Duża część dochodów płynęła z opłat i czynszów za handlowe użytkowanie ulic. O jarmarkach - niżej.

Teraz należy wspomnieć o problemie tak starym, jak stare są ulice: utrzymaniu traktów w stanie używalności oraz o porządku, a raczej jego permanentnym braku. W obu tych kwestiach władze miejskie produkowały często i gęsto rozporządzenia, nakazy i zakazy. Nie wolno było sadzić drzew przy ulicach, ani trzymać tam towarów, ani utrudniać ruchu. Zmagano się z takimi bolączkami, jak nieustanne wałęsanie się zwierząt domowych na ulicach, ze świniami na czele. Co dopiero mówić o utrzymaniu porządku w ciasnych, nieoświetlonych (przynajmniej do XVIII wieku), nie

skanalizowanych (rynsztok był osiągnięciem czasów nowożytnych!) ulicach. Bruki, które poza głównymi ulicami także należały do rzadkości, "zarastały" warstwą zastygłego błota i kurzu. Cóż że ojcowie miasta wydawali polecenia w rodzaju: nakaz dla przyjeżdżających kupców czyszczenia kół przed bramami, a przy wyjeździe zabieranie gnoju (Wrocław, 1669). Ogólnie - mało one skutkowały.

Do systematycznego sprzątnięcia ulic i oczyszczania miasta powrócimy w innym odcinku. Pora bowiem przywołać takie momenty, które ulicznej codzienności nadawały bardziej pociągający koloryt. Oprócz świąt, parad, występów kuglarzy, popisów linoskoczków itd., były nimi jarmarki. Wielkie jarmarki roczne, i te zwykle tygodniowe. W dni jarmarków robiło się tłoczno i gwarno, wąskie uliczki zapchane były wozami. Kupowano dużo (towary na jarmarku były tańsze niż zwykle), targowano się głośno i zachwalano towar. Przyjezdni handlarze zostawali na placach z wozami na noc.

*Przedwojenny jarmark
bożonarodzeniowy przed
ratuszem w Głogowie.
Rys.: H. J. Gatzka.*



Bawiono się tam wieczorami, prym w tańcach wiedli parobcy i dziewczki. Kto nie miał pecha, stając się ofiarą obrzynaczy trzósów, mógł sobie winiszować udanego jarmarku. Jednym z jarmarków okolicznościowych był pospolity na Śląsku i w krajach niemieckich (gdzie jest ciągle kultywowany)

jarmark bożonarodzeniowy.

Właściwiej byłoby powiedzieć: adwentowy, gdyż z reguły zaczyna się

z pierwszą niedzielą adwentu i kończy w przeddzień świąt. Miał taki jarmark i Głogów; odbywał się oczywiście w Rynku. Sympatyczna tego namiastka, połączona z festynem, miała miejsce w tym roku w przedświąteczną sobotę.

Brawa dla organizatorów za pomysły! Impreza do wprowadzenia na stałe (i rozbudowania w prawdziwy jarmark bożonarodzeniowy?).

Antoni Bok

Adres: Pod Czarnym Murzynem

Pewien mieszczanin nazwiskiem Deutsmann wybudował w 1680 roku na rogu ulicy Słodowej i Garncarskiej kamienicę. W narożniku umieścił rzeźbioną głowę Murzyna i tablicę o treści: „Dom znajduje się w ręku Boga, a będzie się nazywał „Pod Czarnym Murzynem”. W tym domu znajdowała się od tamtego obojętka (według innych źródeł – apteka). Odcinek ulicy Garncarskiej, od miejsca gdzie pozdrawiał przechodniów konterfekt Murzyna do ul. Brzostowskiej, zaczęto nazywać Mohrengasse (Mohr = Murzyn). Od 1865 r. nazwa dotyczyła całej ulicy (od ul. Starowalowej do placu przy kościele Franciszkanów). Przetrwiała do 1945 roku. Wymieniona ulica Brzostowska (Brostegasse, wzmiankowana w 1449 r.) została w 1742 r. na rozkaz króla Fryderyka II przemianowana na Preussische Gasse. To obecna ulica Grodzka.

Uff... wszystko to pokręcone

- jak cała historia. Ludzie średniowiecza widzieli te sprawy jednak chyba prościej. Ulice nazywali w sposób czysto rzeczowy. W dokumentach znajdujemy określenia łacińskie, np. *platea fabronum* to po prostu ulica kowali, w dzisiejszej nomenklaturze: Kuźnicza. Dla niemieckich mieszkańców była to oczywiście Schmiedegasse. Dla traktów, które wychodziły z miasta przez bramy w określonych kierunkach, stosowano nazwy miejscowe, wskazujące odpowiedni cel – stąd wspomniana Brostegasse. Nazwy takie, jak (w tłumaczeniu): Kościelna, Bernardyńska, Szkolna, Odrzańska, Mnichów, itd., mówią same za siebie – właściwie powinno się je pisać z małej litery. Jeszcze inne nazwy wywodziły się od bogatych właścicieli posesji. Ich murowane domy służyły jako punkty orientacyjne w mieście. Nawet jeśli były to ulice, przy których mieszkali „dostojni

obywatele”, a nie „brudni rzemieślnicy” (B. Stein), już w XIX wieku od dawna nie wiadomo w Głogowie, gdzie mieściła się np. wymieniona w 1435 r. Mynoldgasse (od imienia Meinhold).

Trudno byłoby ustalić kiedy w Głogowie rada miejska zarządziła po raz pierwszy oznakowanie ulic tabliczkami, zapewne drewnianymi. W 1777 r. na rozkaz komendanta twierdzy na rogach ulic pojawiły tabliczki blaszane. Niektóre ulice otrzymały wówczas inne nazwy. W 1865 r. magistrat zlikwidował starą praktykę, że dłuższe ulice mają osobne nazwy w poszczególnych kwartałach; otrzymały wtedy nazwy ujednolicone dla całej długości. Wówczas też wprowadzono numerację domów. A co było wcześniej? Ano było tak jak u wspomnianego oberżysty Deutsmanna: kamienice posiadały swoje

Godła

- rzeźby lub płaskorzeźby umieszczane na frontowych ścianach. One to

Głowa konia na budynku poczty

ułatwiała trafiać pod właściwy adres. Niektóre z takich godeł przetrwały we Wrocławiu, w Rynku i przyległych ulicach: złoty jeleń, złoty pies, gryfy („Pod Gryfami”, Rynek 2), precle, baranki, czy wreszcie wizerunek słońca z uśmiechniętą ludzką twarzą („Pod Złotym Słońcem”, Rynek 6).

W Głogowie już J. Blaschke na początku XX wieku żałował miejscowych godeł, które znikły w XIX wieku (wtedy również „unowocześniano”! to i owo). Opisał szczerzątkowo zachowane, m.in. właśnie głowę „Mohra”. Również dziś spodobałoby się nam, gdyby narożnik nowej kamieniczki w tamtym miejscu ozdobiła podobizna Murzyna – pardon, Afrykanina. Na osłodę pozostaje głowa konia z budynku dawniejszej poczty. Gmach powstał w latach 80.



XIX wieku. Godła były już stylizacją historyczną, konie – nie. Bystrzejszy czytelnik z pewnością znajdzie w Głogowie kilka innych akcentów przypominających dawne godła. Natomiast właściwe, tzn. kompletne opisanie ulic i numeracja domów – ciągle pozostawiają wiele do życzenia.

Antoni Bok

Od proboszcza te rury !

“Był w Głogowie w roku 1442 pewien proboszcz, człowiek łagodny. Nazywał się Franziscus Launalt. Przeznaczył on pewną sumę pieniędzy dla ogólnego pożytku, żeby sprowadzić rurami wodę do miasta”. Tyle zapis w starej kronice. Według głogowskiego historyka Minsberga, proboszcz Löwenwald wyasygnował 300 guldenów “na zdrową wodę, którą sprowadzono drewnianymi rurami”. Skoro tak, Głogów musiał też posiadać swojego miejskiego rumistrza, mającego nadzór nad wodociągami z wydrążonych pni (tak, jak było to najpóźniej od 1387 r. we Wrocławiu). Takie wodociągi stanowiły duży postęp wobec dotychczasowego systemu otwartych rynien. Wiercenie otworów

w sosnowych kłodach

za pomocą konnego kieratu było z pewnością nie lada zadaniem. Powstałe rury łączono

metalowymi zworami, tworząc z nich ciągi. No i mamy wodociąg - pod warunkiem, że pomoże grawitacja. Z tym akurat w Głogowie nie było problemu, zważywszy ukształtowanie okolicznego terenu. Skąd szła ta woda, dowiadujemy się z umowy, którą zawarło miasto w roku 1510 “z czcigodnymi i serdecznymi dziewicami z klasztoru *ad Sancta Claram*”, czyli klaryskami. Według niej, klasztor zezwala na “założenie nowych studni ze źródeł i wód, które tryskają na dziedzicznym gruncie Baumgarten”. Baumgarten to nic innego jak późniejszy Paulinenhof, obecny Paulinów. Należał on już wtedy od dwustu lat do klarysek, które założyły tam ogrody. Za korzystanie ze źródeł w Baumgarten miasto zobowiązało się płacić rocznie, zawsze w dzień św. Michała, 6 wiardunków groszy. Z umowy dowiadujemy się, że w Paulinowie znajdowały się 4 studnie “które są

tu już od dawna”, zatem można przyjąć, że woda dla rur proboszcza Löwenwalda pochodziła właśnie stamtąd. Jednak na całym odcinku rury założono nieco później, co wynika z kolejnej umowy z roku 1549.

Tak przedstawiają się w pigułce początki gospodarki wodnej w Głogowie.

Dowodami archeologicznymi są znalezione dwukrotnie, przed kilkunastu laty, w sąsiedztwie ratusza, fragmenty drewnianych rur. Znajdują się one w muzeum. Obecnie są tam jednak do oglądania (wystawa najnowszych odkryć archeologicznych) zabytki tego rodzaju z Polkowic: rury drewniane i ceramiczne (zob. ilustracja) i 4-metrowej długości drewniane koryto do czerpania wody - wszystko z XVI w.

System zaopatrzenia w wodę wzbogaciły w następnych wiekach ujęcia z Brzostowa, Górkowa i Żarkowa. Tym niemniej każde ko-

lejne przebudowy i modernizacje aż po koniec lat 80. XX w. poprzedzane były uwagą:

Głogów ma za mało wody!

W XVIII w. często coś poprawiano i podwojono ciągi rur; w 1777 r. dokonano ich pomiarów. Wtedy też 24 studnie miejskie zaopatrzone w pompy. Dopiero od lat 20. XIX w. drewniane rury zastępowane były stopniowo żeliwnymi. W latach 1859-61 nastąpiła gruntowna rozbudowa i modernizacja wodociągów. Wydano prawie 21 tys. talarów. Wszystkie rury pozamiejskie - około 12 km - zostały zastąpione żeliwnymi, głównie o średnicy 157 mm. Na ulicach pojawiły się też 33 hydranty. Ale dopiero w następnych dziesięcioleciach zaszły decydujące zmiany, które sprawiły, że woda stała się w mieście dobrem powszechnym. W 1859 r. zużywano 44 tys. l dziennie, w

trzydzieści lat później - ponad 1 mln l. W 1869 r. było tylko 37 ujęć prywatnych, w 1887 r. - 1480. Wpływy do kasy miejskiej wzrosły w tym okresie ze śmiesznych 132 marek do 12 tysięcy. W tym czasie (1882) oddano do użytku nowe ujęcie w Górkowie. Zabudowania i szczątki urządzeń tego Wasserwerku zachowały się do dziś. Ciekawy zabytek techniki - szkoda byłoby, gdyby uległ całkowitemu zniszczeniu.

W początkach XX w. powiększyła się liczba ujęć. Co ważniejsze, w 1908 r. przystąpiono do budowy nowoczesnej, jak na tamte czasy, stacji filtrów i pomp na Ostrowiu Tumskim. Oddana została do użytku w 1914 r. Odtąd, aż do roku 1945 Głogów zasadniczo nie miał kłopotów z wodą. Powojenne inwestycje i perypetie z wodą to znów osobny rozdział wodnego tematu - choć już na inny felieton.

Antoni Bok

Śmierdząca sprawa

W swojej historii człowiek wy stawiał na coraz cięższą próbę zdolność natury do utylizacji ogromnej ilości odpadów, które wytwarzał. Recykling pozostawiał na ogół samej przyrodzie. Współcześnie ta część ludzkości, która produkuje najwięcej odpadów, niestety także świątwa nie poddające się rozpadowi, posiada większą świadomość zagrożeń, które sama powoduje. Sprawy stanęły na ostrzu noża: albo pomożemy zdegradowanej planecie, a tym samym sobie, albo "zostanie po nas złom... i długi, drwiący śmiech...kosmosu" – żeby strawestować poetę.

W tych felietonach interesuje nas dawne miasto i jego urządzenia komunalne. Do nich też należy gospodarka wszelkiego rodzaju odpadami. Otóż miasto, w kształcie jaki nabrało w średniowieczu - ciasne, gęsto zabudowane, za-

mknięte w murach – wcześniej odczuło narastający problem z pozbywaniem się substancji odpadowych. Elementarną potrzebą była gospodarka ściekowa.

W miastach Azji Mniejszej z połowy I tysiąclecia p.n.e. znajdowały się ulice z solidnymi brukami. Ich środkiem prowadziły głębokie rynsztoki. 2000 lat później – 1596 rok - podróżnik Paolo Mucante tak opisuje ulice Krakowa: "Ulice w mieście i na przedmieściach są brukowane dużymi kamieniami, źle spojenymi ze sobą. Na niektórych ulicach bruki są tylko po bokach, środkiem zaś niezmiernie kałuże błota, przez które brnąć trzeba, chcąc się przebrać z jednej strony na drugą". W Warszawie było wówczas jeszcze gorzej. Na Dolnym Śląsku, także w Głogowie, sytuacja mogła być niewiele lepsza.

Głogów był o tyle w dobrym położeniu, że miasto jest nachylone ku Odrze, co pozwalało w odprowadzeniu ścieków wykorzystać grawitację. Czy było to jakieś rozwiązanie systemowe, tak jak np. w Norymberdze – nie wiemy. Usuwanie błota, nawozu, czyszczenie ustępów, likwidacja odpadków produkcyjnych należały w zasadzie do właścicieli nieruchomości. Tylko niektóre miasta najmowały specjalnych ludzi do czyszczenia ulic z błota, lodu i wywózki śmieci. We Wrocławiu w drugiej połowie XIII w. funkcjonowali zamiatacze ulic; wydaje się, że wykonywali tę pracę jako karę za przewinienia. tamtejsze przepisy budowlane z roku 1376 wymieniały latryny (kloaki), konkretnie - odległość, w jakiej mogły być posadowione od muru sąsiada (86 cm). Pominąwszy duże miasta, dopiero od drugiej połowy XV w.

wyposażenie w latryny było uważane za normalne i niezbędne. Wygódek było jednak ciągle za mało, toteż władze miejskie budowały publiczne latryny, przeważnie na wałach z wylotami na fosy czy rowy.

Istotna poprawa we wszystkich urządzeniach komunalnych dokonała się w XVIII w. W te sprawy wchodziło państwo. W roku 1742 król pruski wydał pewne rozporządzenia, (poprzedziły je skargi komendanta twierdzy) dotyczące Głogowa: "Musi się odtąd bardziej zwracać uwagę na "propreté" [porządek] miasta. Ulice i zaułki należy utrzymywać w czystości, pozbywać się nieczystości i smrodu, które prowadzą do "infection". Komendant nakazał wówczas również przykrycie studni. Tyle instrukcje. Jaka była praktyka, pozostaje do zbadania.

W drugiej połowie XIX w. większość miast na Dolnym Śląsku sprawiła sobie kanalizację z prawdziwego zdarzenia. W Głogowie nastąpiło to w latach 80. O przedwojennej sieci kanalizacyjnej można by długo. Tu warto zauważyć, że jej nawierzchniowe pamiątki gdzieś przetrwały, m.in. przykrywy przy ul. 1 Maja (z fabryki braci Momma) i przy ul. Przemysłowej (u wlotu do ul. Sikorskiego, fabryka E. Stempke) oraz kratki ściekowe (Plac Tysiąclecia, ul. Grunwaldzka).

Głogów jako jedno z pierwszych miast na Śląsku dysponował przed wojną mechaniczną oczyszczalnią ścieków Mieściła się, podobnie jak obecna, przy ul. Krochmalnej - gdzie również znajdowało się wysypisko odpadów stałych.

Antoni Bok

Gazownik z Brukseli

Ciemnościom nocy miasta długo przeciwstawić mogły tylko nikle światła. Do początków XVIII wieku przechodnie po zmierzchu świecili sobie kagankami. Bogacze wjeżdżali do miasta przy blasku pochodni. W 1703 r.

pierwsze lampy

pojawily się we Wrocławiu. Jedenaście lat później rada miejska postanowiła oświetlić całe miasto ale ... spotkała się z oporem. Pomysł storpedowało pospólstwo, nie zgadzając się na nowy podatek. Toteż stałe oświetlenie Wrocław otrzymał dopiero w czasach pruskich. Tak jak Głogów. Tu pierwsze latarnie zainstalowano w 1742 r. przy strażach wojskowych. W tym samym roku w zarządzie głogowskiej kamery sporządzono projekt oświetlenia ulic. Niestety, przeleżał on aż do zakończenia wojny siedmioletniej. Dopiero w 1763 r. miasto zakupiło ze znajdującej się obok Krosna Odrzańskiego huty szkła 300 okrągłych latarni. Zleciło zaopatrzenie ich w "kapelusze", stopy i uchwyty, po czym zostały zamo-

cowane na ścianach budynków, wzdłuż ulic, co 15 - 22,5 m. Roczne koszty oświetlenia wyniosły 727 talarów. Ciekawy był sposób finansowania: główna część pochodziła z opłat pobieranych od ...spóźnialskich, którzy przekraczali po przepisowej godzinie bramy miejskie. Wypada stwierdzić, że glogowanie i tak byli wcześniej "oświeceni". Wcześniej niż np. Warszawa (pierwsze lampy - 1754, stałe oświetlenie - 1785), nie mówiąc o takim Kaliszu, którego dumą pod koniec XVIII w. było raptem 5 lamp. Latarnie, o których była mowa wyżej, posiadały lampy olejowe. Te cuda nowoczesności były raczej lampami odblyskowymi. W latach 20. XIX wieku latarnie przyścienne zastąpiono w Głogowie wiszącymi na łańcuchach poprzecznie ponad ulicami. W tamtym czasie w użycie wchodziło już

oświetlenie gazowe.

Pierwszym miastem na świecie, które je systemowo wprowadziło, był Londyn (1814). Od roku 1845 Głogów

był przygotowany finansowo, aby całkowicie zmodernizować oświetlenie ulic. Pierwsze oferty nie zadowalały magistratu. Oczekiwania spełnił dopiero projekt oświetlenia gazowego dostarczony przez inżyniera J. More'a z Brukseli. W lipcu 1853 r. podpisano z nim umowę na trzydzieści lat. Miasto sprzedało inżynierowi 8 mórg gruntu nieopodal dworca kolejowego. Tam w przeciągu roku zbudowana została gazownia. Gaz dostarczono rurami do miasta i podłączono do niego nowe latarnie słupowe, umieszczone w odstępach co 40 m. Miasto wewnętrzne (t.j. obecne Stare Miasto) potrzebowało ich 143. Wiekopomna chwila nastąpiła w pierwszych dniach listopada 1854 r. Gazownicy mogą więc w obecnym roku świętować 150-lecie "zagazowania" miasta. Żeby pozostać przy porównaniach: głogowska gazownia była trzecią, po Wrocławiu i Wałbrzychu (obie z r. 1847), na Śląsku. Warszawa otrzymała oświetlenie gazowe dwa lata po Głogowie.



Po wieku pary nadchodził wiek elektryczności.

Po wybudowaniu elektrowni w 1907 r., na ulicach pojawiło się niewątpliwie 28 betonowych latarni z elektrycznymi lampami łukowymi. Pozwoliło to na zlikwidowanie 61 punktów oświetlenia gazowego. Kiedy ostatnie lampy gazowe znikły z głogowskich ulic - nie udało mi się ustalić. Rok 1945 oznaczał godzinę zero. W lipcu przy skrzyżowaniu ulic Królewskiej (obecnie

Jedności Robotniczej) i Słowiańskiej rozbłysła pierwsza latarnia uliczna, zasilana agregatem prądotwórczym z browaru. Taki był początek.

Na zakończenie warto przypomnieć nowinkę techniczną sprzed I wojny światowej. Kto wracał wieczorem z Głogowa do Żarkowa ulicą Folwarczną, u jej początku wrzucał do automatu pieniądze, zapalając w ten sposób światła uliczne. Zmyślnie!

Antoni Bok

Promenady pod ostrzałem

Zamknięte murami miasto, małe ogródki - zieleni tyle, ile mieli Kaj i Gerda z "Królowej Śniegu". Bogatsi mieszczenie na swoich podwórzach, też zwykle otoczonych murem, wydzielali miejsce na grządki, na których uprawiali kwiaty i nieco warzyw. Ogrody klasztorne i zamkowe były mieszcuchom praktycznie niedostępne. Marzyli o "rajskich ogrodach" lub zwyczajnie o kontakcie z naturą w bliskim otoczeniu. Pierwszy publiczny ogród powstał co prawda już w XIII w. we Florencji, ale dopiero w XIX wieku nastąpił rozkwit ogrodów i promenad publicznych. Tu będzie

o promenadach głogowskich.

Zacząć trzeba wszakże od przypomnienia, że Głogów był twierdzą. Niestety - otaczające ją tereny nie były dla komendan-

tury wojskowej niczym innym, jak tylko przedpojem fortocy. Istniał więc szereg ograniczeń (np. wymóg zachowania widoczności). W II połowie XVIII w. miastu warunkowo pozwolono na częściowe wykorzystanie pasa wokół twierdzy. Założono tam ogrody i tereny spacerowe. Te ulubione miejsca rekreacji zlikwidowane zostały w 1806 r. w obliczu zagrożenia napoleońskiego. Po blisko 8-letniej okupacji francuskiej przystąpiono znów do rekonstrukcji zieleni. W 1837 r. wytyczona została Promenadenstrasse - dzisiejsza ul. Daszyńskiego. W roku 1847 magistrat przyjął na siebie zadania pielęgnacji zieleni. W połowie XIX w. głogowianie dysponowali już prawdziwym parkiem miejskim. Nazywano go zwyczajnie - Promenady. Obejmował on w

przybliżeniu teren dzisiejszego Parku Leśnego. To, co miasto i jego obywatele zdolali sobie wywalczyć w utarczkach z komendanturą, przestało mieć znaczenie w 1866 roku, kiedy ogłoszono mobilizację. Wszystkie drzewa nakazano wykarczować.

Udało się ocalić

tylko lipy, którymi wysadzona była ul. Daszyńskiego. Po dwóch wojnach - z których ani jedna nie dotarła na Śląsk - znów przystąpiono do odbudowy założeń parkowych. W końcu XIX w. miejskie promenady obejmowały 13 ha. Do dyspozycji był m.in. zakład ogrodniczy z trzema szklarniami. Po likwidacji twierdzy nic nie stało już na przeszkodzie rozwojowi terenów zielonych. W rezultacie Głogów dorobił się miana miasta - ogrodu. Jak wyglądały Promenady i

nowe skwery (dzisiejszy Plac Jana z Głogowa) w latach międzywojennych - dokumentują liczne fotografie. Architektura parkowa, palmiarnia, wodotryski, egzotyczne krzewy, korty tenisowe - żeby wymienić hasłowo. Drugi głogowski park, dawniej Bauch'sche Anlagen, dziś Park Sępólno, początkami sięga r. 1839. Wtedy to radca handlowy Bauch udostępnił publiczności swoje ogrody ze ścieżkami spacerowymi nad strumieniem

Lasek Pionierów

dzisiejszy Park Słowiański i rosarium w fosie powstały już w XX w. ,

Zniszczone w czasie II wojny głogowskie promenady nie zostały już przywrócone do rangi parku, w znaczeniu, które nadawano temu pojęciu kiedyś.

Oczywiście w Parku Leśnym wykonywano szereg prac, które zmierzały drobnymi krokami do jego rekultywacji. Ale to ciągle jeszcze jest raczej "teren zielony". Byłoby oczywiście niesprawiedliwością nie zauważyć, że coś się tu przecież w ciągu ostatnich lat zmieniło. Renowacja "świątyni Goethego" i odsłonięcie pomnika "Ofiarom Wojny, Przemocy i Wypędzenia" wraz z urządzeniem otoczenia, stworzyły dobry punkt wyjścia do dalszych przeobrażeń. Wiele korzystnych zmian nastąpiło w zagospodarowaniu Parku Sępólno i Parku Słowiańskiego.

Również w naszych czasach zieleni jest atutem Głogowa, zauważanym przez przyjezdnych. Tradycja zobowiązuje - nie tylko władze miejskie - do sprostania mianu miasta - ogrodu.

Antoni Bok

Nie było nas, był Miejski Las

Dziś już prawie się nie pamięta, że do miejskich dóbr komunalnych należały majątki ziemskie, lasy i pastwiska. Więcej - że przynosiły niebagatelne dochody. Na przykład miejskie lasy.

Dawne miasta potrzebowały drewna i jeszcze raz drewna. W średniowieczu, po wielkich pożarach książęta, chcąc nie chcąc, pozwalali mieszkańcom miast na wyręb drzew w własnych lasach. Tak zdarzyło się w Głogowie w roku 1291. Mieszczanie chcieli jednak posiadać

własny las

Udało im się to w roku 1319. Rada miejska zakupiła wówczas "Busch" koło wsi Obora i skrawek puszczy w okolicy, gdzie później powstały wsie Krzekotów i Krzekotówek. Tam właśnie zaczęła się historia głogowskiego Lasu Miejskiego. W

następnych stuleciach Głogów rozrastał się i bogacił, a mieszczanie zwiększali swoją pozycję przetargową wobec lokalnych władców. Ci, rzecz jasna, nie chcieli uszczuplać zasobów strategicznego towaru, jakim było drewno. Niemniej władze miasta, drogą kolejnych nabytków powiększyły do roku 1544 Las Miejski do wielkości, która później nie uległa już istotnym zmianom. Rozciągał się on między wsiami Sobczyce - Krzepielów - Stare Drzewce - Gola - obecne Serby - Sobczyce. Las stał się jednym z głównych źródeł dochodów miejskiej kasy. Przez jego środek przechodził szlak handlowy z Saksonii do Polski. Zaraz za Golą była komora celna i zaczynała się Rzeczpospolita.

W wyniku strasznego pożaru Głogowa w roku 1615,

mieszczanom pozwolono na darmowe wyręby. Niedługo później wojna trzydziestoletnia spowodowała masowe trzebieenie lasu. Głogów stał się twierdzą, co oznaczało, że odtąd każda kolejna wojna i okupacja dziesiątkować będzie miejski las. W roku 1722 po raz pierwszy dokonano pomiaru Lasu Miejskiego i wykonano mapę. Po zajęciu Głogowa przez Prusy w 1741 r. gospodarka w lasach poddana została państwowym rygorom. W roku 1773 przystąpiono do systematycznych zalesień i prac porządkowych. Wtedy też założona została wieś Głogówko. W XIX wieku roczne dochody z Lasu Miejskiego stanowiły zwykle najwyższy przychód do kasy miejskiej. Jedną z pozycji była dzierżawa rewirów łowieckich. Według pomiaru z roku 1855 las zajmował

10790 mórg,

Las wysoki stanowił 5/6 całości, gatunkiem dominującym była sosna. W roku 1858 las przecięła linia



kolejowa do Leszna. Z czasem Głogówko i jego okolice stały się dla głogowian popularnym celem niedzielnych wycieczek. W XX wieku powierzchnia lasu oscylowała wokół 2600 ha. Las administrowany był przez miejski urząd leśny (Forstamt) w składzie: nadleśniczy,

czterech leśników z dwoma pomocnikami i sekretarz. Koniec II wojny światowej oznaczał zniesienie statusu miejskiego lasu komunalnego. Dawniejszy Las Miejski znalazł się w zarządzie Administracji Lasów Państwowych, w Nadleśnictwie Głogówko (od 1990 roku Nadleśnictwo Głogów).

Las, do którego tak chętnie wybieramy się na grzyby, był niemym świadkiem historii, także zdarzeń dramatycznych. Popołniono w nim kilka głośnych zbrodni. Miał swoich zbójców - bandę Czarnego Fryderyka, która według legendy posiadała swoją kryjówkę obok Mostu Pustelnika na Krzyckim Rowie. A czy można nie wspomnieć o zaginionej wsi Bańgk? Wymieniona kilkakrotnie w średniowiecznych dokumentach, przestała istnieć w czasie wojny trzydziestoletniej. Czy kiedykolwiek odnajdzie się jej ślad?

Antoni Bok

Na dole mięso, na górze widowiska

Teatr był określany w XIX wieku jako "zakład służący wygodzie i przyjemności obywateli". Już wcześniej władze i elity w miastach zabiegały o to, aby ufundować takie przybytki użyteczności publicznej. Zresztą, było się do czego odwołać: oprócz chleba lud zawsze potrzebował igrzysk.

Starożytność pozostawiła po sobie ruiny imponujących amfiteatrów. Widowiska, niejednokrotnie krwawe, pozwalały publice rozładowywać emocje - co zawsze jest korzystne dla rządzących. Średniowiecznym gustom odpowiadały przedstawienia "grube a uciężne", co zapewniali wędrowni kuglarze. Kościelne misteria pełne były scen naturalistycznych - ku przestrodze ludu. W czasach nowożytnych Europę objeżdżały zawodowe trupy aktorskie; w XVIII wieku wiele z nich - rodzime i zagraniczne - kręciło się po Śląsku. Przedstawienia odbywały się wynajętych salach publicznych. W czasach

pruskich dyrektorzy zespołów musieli płacić za samo pozwolenie dawania występów, za wynajem lokali i jeszcze jakieś drobne do miejskiej kasy. Państwo uznało, że jeśli wszystko ma być objęte przepisami i opodatkowane, najlepszym rozwiązaniem będą stałe siedziby. Grać się w nich powinno

sztuki dla mieszczan i wojska

nadto każde święto państwowe uświetnione miało być zabawą i sztuką teatralną. Wrocław dorobił się dwóch publicznych teatrów, trzeci na Śląsku powstał w 1800 r. w Głogowie. Tu zadziały aspiracje władz miejskich i garnizonu oraz aktywna postawa pana Antona Fallera, właściciela trupy aktorskiej z Jawora. Szukał on w Głogowie stosownej siedziby. Zwrócono uwagę na budynek w Rynku, powstały w 1773 r. na miejscu rozebranych kramów mięsnych. Posiadał on na piętrze (parter na powrót zajęli sprzedawcy mięsa) salę

reduciową i "kawiarnianą". Architekt Christian Schulze dobudował teraz kolejne piętro, z przeznaczeniem na cele teatralne, a samej budowli nadał pełną elegancji i powagi szatę architektoniczną. Odtąd trupa Fallera produkowała się na skromnej, miejskiej scenie.

Ten zgrzebny teatr z czasem znużył się publiczności. W roku 1839 usunięto strop między salami na piętrze i teatralną powyżej. Powstał

prawdziwy Teatr Miejski

z balkonami, orkiestrą itd. Zmienił się dyrektorzy - i dalej rosły oczekiwania publiczności. Wreszcie w Głogowie przyszedł czas na opery i balety. A na parterze dalej królowały "mięso i wędliny" - i tak aż do początku XX wieku! Nadchodziły wszakże trudne czasy. Podczas I wojny światowej dyrektor Amand Tresper zmuszony był zrezygnować z zespołu operowego. Ale dopiero w latach 20. egzystencję teatru musiały ratować



okresowo dotacje miejskie. Po renowacji budynku i modernizacji wnętrza, teatrem zawiadywał Georg Syguda - typ rzutkiego biznesmena. Głównie jemu zawdzięczał Głogów przetrwanie własnego teatru podczas kryzysu światowego i rosnącej lawinowo konkurencji filmu (w Głogowie powstały dwa kinoteatry, dysponujące łącznie prawie 1500 miejscami). Teatr musiał się dwoić i troić, aby utrzymać klientów. Po roku 1933 teatry wprężnięte zostały w służbę ideologii narodowo-socjalistycznej. Publiczność mogła

wybierać między wytworami piewców III Rzeszy a repertuarem lekkim: komedią, farsą, wodewilem. Teatr głogowski miał w tamtych latach dwa zespoły: dramatyczny i operetkowy, prowadził szeroką działalność objazdową. I tak dotrwał do końca hitlerowskich Niemiec. Po prawie półtora wieku dostarczania publiczności wzruszeń i okazji do plotek - słowem tego wszystkiego, co wiąże się ze zjawiskiem teatru, jako składnika miejskiego życia - kurtyna w Głogowie opadła. Czy na zawsze?

Antoni Bok

Miejskie, niemiejskie

Na zakończenie naszego cyklu, mającego za temat miejską gospodarkę komunalną w przeszłości, nasuwa się kilka uwag podsumowania i refleksja o terażniejszości.

Jak można się było zorientować z poprzednich felietonów, dawno temu (z reguły w średniowieczu) wspólnoty miejskie, wraz z otrzymaniem prawa miejskiego nabyły określone wolności. W ograniczonym zakresie mogły rządzić się same w obrębie

wspólnego gospodarstwa - „miasta”.

Stąd pojęcie samorządności. Najogólniej mówiąc, wspólnota, poprzez swoich wybieralnych przedstawicieli, powołała określone służby i działy gospodarki (niektóre mogły być dzierżawione), pracujące na jej rzecz. Do tego dochodziły miejskie inwestycje. Pieniądze szły na to z kasy

miejskiej, do której łożyli podatnicy. Wysokości czynszów i opłat bezpośrednich określały czy przynajmniej zatwierdzały władze miejskie. Ten stan rzeczy utrzymał się i był przez stulecia tolerowany (z wyjątkami) przez państwo. Po II wojnie światowej „władza ludowa” nie potrzebowała samorządu o tak szerokich kompetencjach. Choćby dlatego, że wolność sama w sobie była niebezpieczna, a najważniejsze słowo od centrali po najmniejszą gminę miały „ogniwa partyjne”. Partia kierowała, rząd i administracja terenowa – wykonywały. Pieniądze obywateli (poniekąd „wirtualne”) szły do kasy państwowej, która „po uważaniu” kierowała je w teren. Zmiany ustrojowe po roku 1989 przywróciły generalnie zasadę samorządności. Samorządy wyposażone zostały w spore kompetencje. Mogły rozporzą-

dzać terenami i mieniem komunalnym (co jednak wywołuje spory – vide opisywana ostatnio sprawa oświetlenia miejskiego). Przydzielono im niemałe zadania, ale mały procent urealnionego pieniądza podatników. Na dodatek administracja się rozrastała – doszły powiaty – a pieniędzy w Polsce było coraz mniej. Krótka kłódra finansowa oznacza szukanie oszczędności.

W takiej sytuacji, wzorem państwa, którego w gospodarce liberalnej „ciągle jest za dużo”, władze miejskie, z pewną nieśmiałością, ale jednak, zaczęły prywatyzować działy, które tradycyjnie były dotąd w ich wyłącznej gestii. Na przykład przez sprzedaż udziałów, zachowując jednak pakiet kontrolny. Choć w radach istnieją kontrowersje co do takiego sposobu gospodarowania mieniem publicznym, magistraty dowodzą,

że to się wszystkim opłaca - zaoszczędzone pieniądze można skierować na inne ważne inwestycje. W istocie nie dzieje się (na razie ?) nic takiego, czego by nie praktykowano w przeszłości, i co nie jest zapisane w ustawie o samorządności. Jednak w tak zwanym odczuciu społecznym budzą się obawy - tym większe, im głębiej trzeba

sięgać do kieszeni

Ugruntowane jest historyczne przekonanie, że gospodarka komunalna działa - jako że ma na względzie dobro konkretnej wspólnoty - na zasadzie non profit. Tam zaś, gdzie wzrasta udział podmiotów prywatnych, pojawia się zasada rynkowa. Zna ona tylko jedno kryterium: zysk. Nie po to dana spółka angażuje się w gospodarkę wodną, inna w cementarze - aby wyjść na zero. Kowalski, który słyszy „z telewi-

zora” informacje w rodzaju: kormornik zabrał pacjentom z intensywnej terapii sprzęt, myśli sobie - jeśli zabraknie mi na pogrzeb i kwatere, to czy odpowiedź będzie brzmiała: - „pochowaj się sam” (na działce ?!).

Nawet jeśli ludzie mają złudzenia, dotyczące cen za określone „posługi”, to przecież ich obawy są zrozumiałe, tam gdzie chodzi o udział podmiotów obcych. Dla firm z zewnątrz miasto jest tylko punktem, gdzie mają swoje interesy. Może być inny punkt. W latach 20. ubiegłego stulecia miasto Głogów wykupiło z rąk prywatnych gazownię, którą 70 lat wcześniej wybudowała firma belgijskiego inżyniera. Inne czasy, inne dzieje, ale pojęcie miejskie - równa się nasze, nie uległo, miejmy nadzieję, dezaktualizacji.

Antoni Bok